

ROZMOWA ~~DWUNASTA~~ Trzynasta

-TSP: - Po prawie dwutygodniowej przerwie wznowiamy nasze rozmowy. Myślałem, że obecna będzie już końcówką. Odkładaliśmy ją ~~bowiem~~ do czasu amerykańskich i ukraińskich wyborów prezydenckich, które mogą mieć wpływ na przyszłość Polski. Chcieliśmy też mieć większą jasność odnośnie "Orlengate" i "sprawy Ałganowa".

Niestety, ukraińskie wybory prezydenckie nie dały nikomu zwycięstwa 31 października i stąd będzie ich II tura 21 listopada. Również na odcinku "Orlengate" i "sprawy Ałganowa" mniej się działo, niż można było się tego spodziewać.

Proponuję wobec tego obecną rozmowę potraktować jako przedostatnią i skoncentrować się w niej na tym co się działo ^{się między} naszą ostatnią i obecną rozmową.

Od czego zaczniemy?

-ZMR: - Proponuję od wydarzeń na "unijnej niwie". W jednej z naszych rozmów mówiliśmy ~~bowiem~~ o zmianie przewodniczącego unijnej Komisji, po tym jak Włochowi, Romano Prodi, kadencja miała ^{je} skończyć się 31 października, a jego następcy jeszcze wtedy nie znaleźliśmy, dokąd 29 czerwca nie został nim Jose Manuel Durao Barroso, 48-letni premier portugalski. Barroso skompletował nowy skład 24-osobowej Komisji, do której z ramienia Polski weszła Danuta Hübner ~~W~~ wydawało się, że wszystko było na dobrej drodze, ale 27 października w Parlamencie Europejskim w Strassburgu doszło do niespodzianki. Przy okazji ~~bowiem~~ zatwierdzania składu

Komisji, "unijnego rządu", lewicowo-liberalne frakcje w Parlamencie, a wszystkich frakcji jest tam osiem, zakwestionowały kandydaturę włoskiego profesora filozofii i przyjaciela papieża Rocca Buttiglioniego, członka Komisji odpowiedzialnego za problematykę sprawiedliwości. Powodem tego była jego wypowiedź, że homoseksualizm jest grzechem, a kobiety powinny zajmować się głównie domem. ^{AP} A ponieważ w stosunku do dwóch innych kandydatów na komisarzy, Łotyszki i Węgry, też było jakieś "ale", więc Barroso wycofał swój wniosek o zatwierdzenie składu Komisji. Należy wyjaśnić, że według regulaminu, sprzeciw Parlamentu wobec jednego członka Komisji oznacza wotum nieufności wobec całego jej składu. W tej sytuacji, Barroso wycofał 4 listopada kandydaturę Buttigliogniego, proponując na jego miejsce Franco Frattiniego, popularnego w Europie włoskiego ministra spraw zagranicznych. Zmienił też dwóch wspomnianych członków proponowanego składu Komisji. Zmiany spotkały się z akceptacją przywódców frakcji parlamentarnych, a 18 listopada plenarnej sesji Parlamentu, ^{18 listopada} Barroso więc, z trzytygodniowym poślizgiem, 22 listopada zastąpił Prodiego jako nowy przewodniczący Komisji.

- TSP: - Interregnum nie przeszkodziło jednakże w podpisaniu Europejskiej Konstytucji.

- ZMR: - Istotnie, 29 października, w rzymskim Kapitolu, w miejscu gdzie 25 marca 1957 r. sześć krajów zachodnioeuropejskich, Francja, RFN, Włochy, Holandia, Belgia i Luksemburg podpisały Traktat Rzymski, tworzący Europejską Wspólnotę Gospodarczą, prekursora utworzonej Traktatem z Maastricht w 1992 r. Unii Europejskiej, szefowie państw i rządów jej krajów członkowskich oraz Rumunii i Bułgarii, przyszłych członków, jak też Turcji, która w

roku w przyszłym rozpocznie negocjacje o akcesję do niej, podpisali z wielką pompą Konstytucję Europejską. Konstytucja, jeśli nawet będzie ratyfikowana przez kraje członkowskie, nie stworzy jednakże sfederowanego, 455-milionowego "superpaństwa europejskiego", choć może być krokiem w tym kierunku. W razie jednak jej nie ratyfikowania, może być ~~natomiast~~ krokiem wstecz w procesie integracji europejskiej, gdyż stracona będzie jej busola.

- TSP: - Pan - jak widzę - jest nadal "eurosceptykiem".

- ZMR: - Jak mogę nim nie być, skoro warunkiem ratyfikowania konstytucji w ciągu najbliższych dwóch lat jest jej *jednogłośnie* przyjęcie przez kraje członkowskie Unii? Litewski Sejm co prawda już ją ratyfikował 11 listopada, ale z pozostałymi jej członkami może być różnie. Według stanu na dziś, w 9-ciu krajach ratyfikacja nastąpi w drodze referendum o *wiążącym* charakterze, w tym w Polsce, gdzie odbędzie się ono jesienią przyszłego roku przy okazji wyborów prezydenckich. ^{Fujko} W jednym kraju referendum nie będzie wiążące, w trzech ratyfikacji dokona parlament, a w pozostałych dwunastu jeszcze nie wiadomo jak ~~z tym~~ będzie. *kraje te rozwiążą ten problem.*

Ratyfikacja konstytucji wydaje się ponadto mało prawdopodobna w Anglii, Danii i Czechach, a do nich mogą dołączyć też Włochy, Hiszpania, Irlandia i Polska ze względu na brak wzmianki w konstytucji o chrześcijańskim dziedzictwie Europy.

Ale nawet zakładając, że konstytucja będzie ratyfikowana, to dopiero w 2009 r. wejdzie ona w życie, a do tego czasu wiele może zmienić się w Europie i świecie, a wtedy Unia może okazać się *chybionym* wysiłkiem. Pomysł nadania jej konstytucji, z zachowaniem przez kraje członkowskie suwerenności w polityce zagranicznej i obronnej, jest przecież nieporozumieniem!

- TSP: - Dlaczego Pan tak uważa?

- ZMR: - Dlatego, że konstytucję wygotowało 109 rządowych przedstawicieli, a *nie* przedstawicieli narodów europejskich. Gdyby tacy przedstawiciele chcieli zjednoczenia Europy i zwołali konstytuante, w wyniku której narodziłaby się Europejska Konstytucja, to wtedy mogłoby powstać autentyczne państwo europejskie, a *nie* jakaś zagmatwana jego namiastka. Tego nie uczyniono, a wygotowano konstytucję-dziwoląg, która, jeśli nawet zostanie ratyfikowana, może tak naprawdę *nigdy* nie wejść w życie. A wtedy ideę budowania "zjednoczonej Europy" może spotkać sromotna porażka i to na pokolenia.

- TSP: - Skoro sprawa unijnej konstytucji jest niepewna, to czy dawne obawy, że Polska źle wyjdzie na członkostwie w Unii, dziś potwierdzają się, bez względu na to co będzie jutro, czy nie? Według sondaży opinii publicznej w Polsce wydaje się, że niechętny do niedawna stosunek społeczeństwa do Unii jakby się zmienił. Do największych sukcesów III RP, aż 45 procent badanych zalicza akcesję do Unii. Pana to nie dziwi?

- ZMR: - Opinia publiczna, nie tylko w Polsce, podlega wahaniom. Na dzień dzisiejszy, choć po półrocznym członkostwie Polski w UE jest jeszcze grubo za wcześnie na rachunek korzyści i strat, to istotnie wygląda na to, że jest lepiej, niż się tego spodziewano. Ceny wzrosły mniej niż tego oczekiwano, a rynek polski nie został zalany subsydiowaną i stąd tańszą unijną żywnością. Przeciwnie, wskutek chwilowych trudności z podażą żywności w Unii, wzrósł do niej eksport z Polski, choć kosztem częściowego ogołocenia jej własnego rynku oraz wzrostem cen rodzimej

żywności. Następują też pierwsze wypłaty rolnikom z tytułu tzw. dopłat bezpośrednich, które, aczkolwiek o połowę niższe od obowiązujących w “starych” krajach Unii, są sporym dla nich zastrzykiem finansowym. Napłynąć ma też tzw. pomoc regionalna. W sumie więc, jak na dziś, wygląda na to, że zamiast wyjść “na zero”, albo dopłacać do Unii, Polska może od niej dwukrotnie więcej dostać niż wpłaca do jej kasy.

Ale początku “polskiego romansu” z Unią *nie bierzmy* jeszcze za jego finał. Chłopi cieszą się, że otrzymują dopłaty do posiadanych hektarów, które powinny być zresztą wyższe, ale dobre i to. Skoro Andrzej Lepper, przywódca Samoobrony i zaciekły wróg Unii, nie odmówił oferowanych mu przez nią 8 tysięcy złotych dopłaty z tytułu posiadania 40 hektarów, to jak ma odmówić chłop 2-hektarowego gospodarstwa? Tylko należy przypomnieć, że dopłaty do hektara, a *nie* do produkcji rolnej, polski pomysł zresztą, b. wicepremiera Jarosława Kalinowskiego z PSL, dzisiejszą radość chłopów z dopłat może zamienić wkrótce w ich rozpacz! Unia wie przecież, że otrzymywane z jej kasy pieniądze polski chłop małorolny obróci głównie na konsumpcję. Stąd dla rolnictwa “starych krajów” Unii *nie będzie* on groźny. Co innego, gdyby jej pieniądze otrzymywały wielkie i konkurencyjne polskie gospodarstwa rolne. Takich, posiadających powyżej 50 hektarów, jest w III RP raptem nieco ponad 16 tysięcy, podczas gdy gospodarstw małych do 14 hektarów, jest ok. 600 tysięcy, a licząc z półśrednimi i średnimi, do 50-ciu hektarów, jest ich ponad 780 tysięcy.

Oczywiście, dla chłopów małorolnych każde dodatkowe 2,5-7 tys. złotych rocznie, za sam fakt posiadania ziemi, jest zbawieniem. Ale *nie* te pieniądze uzdrowią polską wieś! Kto ponadto wie *jak długo* polscy chłopci będą się cieszyć z tych “hektarowych dochodów”?

Na tym nie koniec. Unii nie podoba się, że “nowa 10-tka”, do której należy także Polska,

subsydiuje rodzimą produkcję w stopniu 3-krotnie *większym* od "starej 15-tki". Zapowiada więc położenie kresu tym praktykom i jeśli groźbę zrealizuje, to w Polsce *ucierpi* z tego powodu wiele gałęzi produkcji. Unia ponadto zacznie wkrótce naciskać na Polskę, żeby zwiększyła swoje wydatki na badania naukowe i postęp techniczny. W 2000 r Unia przyjęła bowiem program, że kraje członkowskie w 2010 r. powinny na ten cel wydawać sumę równą 3 procentom dochodu narodowego, co w przypadku Polski oznaczałoby aż *8-krotnie* większy udział tych wydatków w dochodzie narodowym w stosunku do dzisiejszego! Skąd weźmie ona na to pieniądze?

- TSP: - No tak, oby tylko nie była to przedwczesna radość. Przejdźmy zatem, trzymając się kolejności wydarzeń, do kolejnego tematu. Porozmawiajmy mianowicie o amerykańskich wyborach prezydenckich.

Spodziewał się Pan takiego ich wyniku?

- ZMR: - I tak i nie. Wybory prezydenckie z 2 listopada 2004 r., tradycyjnie połączone z częściowymi wyborami do Kongresu i gubernatorskimi, to *największe* w USA wydarzenie polityczne. Wybierano ^{*prezident*} ~~bowiem~~ nie tylko prezydenta, ale także całkowicie odnawiano skład 435-osobowej Izby Reprezentantów o dwuletniej kadencji, ^{*talę jej*} ~~odnawiono~~ jedną trzecią 100-osobowego Senatu o 6-letniej kadencji ^{*W*} ~~+~~ wybierano ^{*wszystki*} 11-tu nowych gubernatorów, na 50-ciu urzędujących.

Odnosnie wyniku wyborów, to nie wykluczałem zwycięstwa Busha, ale jego skalą byłem zaskoczony, podobnie jak byli nią zaskoczeni Bush, Kerry i obie walczące ze sobą partie.

- TSP: - Czemu przypisać tak wysokie zwycięstwo republikanów? Pan uważa, iż panująca

powszechnie opinia, że pomogli im w tym praktykujący chrześcijanie, protestanci

zwłaszcza, oburzeni falą homoseksualnych małżeństw, jest uzasadniona?

- ZMR: - Zakładając, iż wybory były wolne od różnych “sztuczek”, gdyż i takie zarzuty słychać ostatnio, to *niespodziewanie* odegrała w nich przemożną rolę dobrze zorganizowana Prawica Chrześcijańska, *Christian Right*, która przyczyniła się do republikańskiego zwycięstwa. Obejmująca większość praktykujących protestantów jak i znaczną część katolików, wierząca w rychły koniec świata, Prawica Chrześcijańska, nawet jeśli nie jest liczniejsza od Lewicy Chrześcijańskiej, *Christian Left*, czy Chrześcijańskiego Centrum, *Christian Center*, to z pewnością była lepiej zorganizowana i o wiele “głośniejsza”, mając nieporównanie szerzej rozbudowane własne środki masowego przekazu. Zarówno Prawica jak i Lewica w głosowaniu kierowały się głównie kryterium “wartości moralnych”, ale różnie je rozumiały. Prawica rozumiała pod nimi głównie wspomniane przez Pana homoseksualne małżeństwa i przerywanie ciąży, uważając je za niedopuszczalne, podczas gdy Lewica na pierwszy plan wybijała sprawę pokoju i walki z nędzą.

W każdym razie, głoszone przez Prawicę “wartości moralne”, wzięły górę, decydując tym samym o wyniku wyborczym. Dla 22 procent wyborców były one powiem najważniejszym kryterium oceny konkurujących ze sobą dwóch partii, podczas gdy sprawy gospodarcze zeszły na drugie miejsce, z 20 procentami, wojna z terroryzmem na trzecie, z 19 procentami, wojna z Irakiem na czwarte, z 15 procentami, a ochrona zdrowia na piąte, z 8 procentami.

ocen

- TSP: - Takiej kolejności kryteriów nie przewidywano?

Absolutnie
- ZMR: - Nie. Ani demokraci, ani republikanie, ani środki masowego przekazu, a nawet zawodowi spece od wyborów, takiej kolejności nie przewidzieli. Szczególnie nie przewidzieli jej demokraci. Kerry ~~bowiem~~, którego wybrali oni na prezydenckiego kandydata, sprawę pokoju, którą do tego czasu demokraci wybijali na czoło, nie tylko pominął, ale jeszcze zaczął mówić o posłaniu do Iraku dodatkowych 40 tys. oficerów i żołnierzy. Stąd bliska demokratom Lewica Chrześcijańska, początkowo głosząca hasła pokojowe, wyciszyła się, podczas gdy Prawica Chrześcijańska, przy neutralności Chrześcijańskiego Centrum, wojnę z terroryzmem i z Irakiem, uznała za ~~rzecz~~ *sprawę* tak oczywistą, że udzieliła jej *pełnego* poparcia. ~~Sprawę~~ *Problem* zaś pokoju i walki z nędzą pominęła, a skoncentrowowała się na walce z homoseksualnymi małżeństwami i aborcją. A ponieważ reakcja społeczeństwa na fałsz ślubów homoseksualnych była *nieprzychylna* w swojej masie, więc tym łatwiej jej to poszło.

Dobrze, ale ta
- TSP: - Skąd wzięła się "antyhomoseksualna fala"?

- ZMR: - Początek jej dała decyzja sądu najwyższego w stanie Massachusetts, z listopada ubiegłego roku, dopuszczająca homoseksualne związki małżeńskie na równi z heteroseksualnymi. Ponieważ jednak Konstytucja USA i konstytucje stanowe homoseksualnych małżeństw nie zakazują, ~~choć~~ *mimo że* w praktyce prawnej do nich nie dopuszczano, to od marca tego roku homoseksualiści w niektórych stanach rzucili wyzwanie tej praktyce i zaczęli masowo zawierać związki małżeńskie, gdzie tylko było to możliwe. Telewizja, radio i prasa wydarzenie to wybiły na czoło innych, w rezultacie czego opinia publiczna została poruszona ~~o~~ *o* kościoły, głównie protestanckie, które gwałtownie zareagowały ~~przeciwko~~ *na* tego rodzaju ślubom, przeszły

do kontrofensywy. Przeciwno tym słubom wypowiedział się także Bush, wychodząc nawet z propozycją wprowadzenia poprawki do Konstytucji, definiującej małżeństwo jako *wyłącznie* związek pomiędzy mężczyzną ^a i kobietą. Emocje więc wzrosły, a kiedy jeszcze Kerry ^{zas} wypowiedział się przeciwko takiej poprawce, uważając ^{ja za problem} powierzenie sprawy legislacji stanowej ~~do decyzji~~, podczas gdy pierwsze reakcje w Kongresie na propozycję Busha były jej raczej nieprzychylnie, ^{teraz} ~~więc~~ ^{wyc} rozpętała się burza. Latem sprzeciwiające się ^o homoseksualnym słubom kościoły ruszyły do akcji, forsując propozycję, aby przy okazji wyborów poddać pod głosowanie w niektórych stanach projekt konstytucyjnej poprawki, zakazującej homoseksualnych związków małżeńskich. I ^{to} w jedenastu stanach wyborcy wypowiedzieli się w tej sprawie. Poprawki ^{zatem} łatwo przeszły, a na tej oddolnej inicjatywie skorzystali republikanie. A ponieważ jeszcze Bush otwarcie demonstruje swoją religijność, to zyskał tym samym sympatię antyhomoseksualnego elektoratu.

Protestanci w każdym razie, którzy tradycyjnie w połowie nie głosują, tym razem ruszyli do urn i w *trzech czwartych* oddali głosy na Busha oraz innych republikanów. Ponad połowa katolików, ^{wyżnawie} instytucji najliczniejszej w kraju, uczyniła to samo i to pomimo faktu, że ^{ze względu} z powodów socjalno-ekonomicznych powinna była inaczej postąpić. I tak, na 28 "biednych stanów" - a za rządów republikanów zwiększył się w nich obszar nędzy - aż 26 głosowało na republikanów.

- TSP: - Czy był to jedyny powód klęski demokratów?

- ZMR: - Nie jedyny, gdyż "wartości moralne" tylko u 1/5 wyborców były w końcu decydujące.

Tym niemniej uważa się, że Bush w głosowaniu ogólnonarodowym, dzięki tym "wartościom"

właśnie, zdobył o 3,5 mln więcej głosów od Kerry'ego. Zdobył ponadto 286 stanowych głosów elektorskich z ilości 538, które w wyborach prezydenckich w USA są najważniejsze.

Republikanie zwyciężyli ponadto w 31 na 50 stanów. umocnili swoją przewagę w Izbie Reprezentantów i Senacie, jak też utrzymali ją w urzędach gubernatorskich.

Tym niemniej, nie jest jeszcze w pełni jasne co naprawdę zdecydowało o takim wyniku wyborów. Społeczeństwo amerykańskie w 45 procentach uważane jest ~~bowiem~~ za "umiarkowane", w 35 procentach za "konserwatywne" i w 20 procentach za "liberalne". "Konserwatyści" zatem, nawet gdyby w całości poszli do urn pod naciskiem kościołów o prawicowej orientacji, to i tak *nie daliby* republikanom zwycięstwa. O wyniku wyborów zadecydowali więc częściowo "umiarkowani", a nawet "liberałowie". Pierwsi dlatego, że częściowo głosowali na republikanów, podczas gdy drudzy, najmniej zdyscyplinowani, nie poszli po prostu masowo do wyborów i tym samym nie wsparli demokratów.

W grę weszły też zapewne jeszcze inne i bardziej osobiste czynniki. Bush w kampanii wyborczej pozował na "swojaka", podczas gdy Kerry był nieco wyniosły, co w połączeniu z jego cudzoziemską żoną, multimilionerką "cięta w języku", wcale mu nie pomogło. Nie bardzo też ~~chyba~~ wierzone w jego katolickość, do której wielokrotnie odwoływał się, gdyż hierarchia katolicka była Kerry'emu niechętna za jego tolerancyjny stosunek do aborcji.

Dość skutecznie podważono też bojowe wyczyny Kerry'ego w wojnie wietnamskiej, podczas gdy Bushowi ^{dziwnie} jakoś upiekło się jego "dekowanie" w tyłowych ^{garnizonach} garnizonach lotniczych w USA. W efekcie tego, weterani wojenni, wśród których jest ponad 6 milionów z wojny indochińskiej, głosowali głównie na Busha. Dużego ^o pararcia ^{również} udzieliły mu też białe zameżne kobiety oraz latynosi, nie bardzo wiadomo dlaczego.

niezapomniał
Kerry dość niezręcznie rozegrał też częściowo już wspomnianą wojnę w Iraku. Zaczął bowiem krytykować Busha za zbyt pochopne jej rozpoczęcie, nazywając decyzję "kolosalnym błędem". Ale ponieważ, podobnie jak jego kandydat na wiceprezydenta Edwards, Kerry głosował w Senacie za wojną, a potem nawet chwalił Busha za obalenie Husajna, więc spotkał się natychmiast z zarzutem, że jest "flip-flopper", *cyrkowcem* wywijającym koziołki do przodu i do tyłu *cyrkowcem!* Zarzut ten, wraz z pozowaniem Busha na "twardziela" w wojnie z terroryzmem, spodobał się wielu wyborcom i jego uznali ~~on~~ za *lepszego* wodza naczelnego w tej wojnie od chwiejnego Kerry'ego.

- TSP: - Czy demokraci podniosą się z tej klęski w 2008 r.?

- ZMR: - W USA wszystko jest możliwe. Przypomnę, że w 1964 r., kiedy akurat byłem w USA jako dyplomata PRL, demokrata Johnson roztrzaskał w wyborach republikańczyka Goldwatera. W wyborach ogólnonarodowych otrzymał 61 procent głosów, podczas gdy Bush zdobył ich teraz tylko 51 procent. Otrzymał też 486 z 538 elektorskich głosów, a Bush zdobył ich tylko 286.

Demokraci zdobyli też wtedy przewagę w Senacie, w stosunku 68-32, podczas gdy teraz wynosi ona *ok* republikańskie *dw* mają ją w stosunku 55:44:1. W Izbie Reprezentantów demokraci zdobyli wtedy przewagę w stosunku 295:140, podczas gdy teraz republikańska wynosi tylko 231:201 ~~8~~.

I co z tego wyszło? Już przecież w następnych wyborach w 1968 r., republikańczyka Nixon roztrzaskał demokratę Humphreya niemal *tal* *identycznie* jak Johnson roztrzaskał Goldwatera!

W USA wszystko jest możliwe.

- TSP: - Przejdźmy teraz do spraw bardziej bezpośrednio Polaków interesujących.

Polonia, ostatnio nie po raz pierwszy zresztą, nie odegrała dostrzegalnej roli w amerykańskich wyborach, choć jeszcze w niedalekiej przeszłości było inaczej.

- ZMR: - Tak, prawdą jest, że rola Polonii w ostatnich wyborach w USA była niedostrzegalna i że w przeszłości tak nie było. Potwierdzenie tej dawnej roli usłyszałem nawet z ust b. prezydenta Geralda Forda, którego spotkałem na Hawajach w lutym 1982.

To było
"Dzięki Polakom przegrałem wybory!" - wykrzyknął z nutą żalu w głosie.

Istotnie, Polonia odgrywała kiedyś znaczącą rolę w amerykańskich wyborach ze względu na jej koncentrację w kilku stanach, zwłaszcza tych głosujących zmiennie, *swing states*, co przy dwustopniowych wyborach prezydenckich jest niezwykle ważne, gdyż o ich ostatecznym wyniku decydują nie głosy ogólnonarodowe, ale głosy stanowych elektorów. Najnowszym przykładem tego były wybory w 2000 r. Gore w wyborach ogólnonarodowych zdobył od Busha ponad 544 tys. głosów, *wycej* ale przegrał na Florydzie 537-oma głosami i stąd głosów elektorskich otrzymał 266, podczas gdy Bush 271, o jeden głos więcej od niezbędnego do zwycięstwa minimum.

Powracając więc do Polonii, to ~~jeszcze~~ tradycyjnie głosując *na* demokratów przynajmniej u nich coś się liczyło. Od wyborów w 1980 r. jednakże, Polonia zaczęła się politycznie dzielić, głosując z grubsza *po równo* na obie partie. *Tak samo* ~~Również~~ jej koncentracja w poszczególnych dystryktach wyborczych, rzecz niezwykle ważna w każdym stanie, zaczęła maleć. W efekcie tego, ponad 10-milionowa Polonia amerykańska straciła swoją "wyborczą wagę". Kiedyś słyszałem nawet opinię jednego ze znawców problematyki wyborczej w USA, że "zorganizowane polskie głosy" wynoszą *nie więcej* niż tylko ok. 300 tys., co na ok. 115 mln

oddanych głosów w ostatnich wyborach, jest kręłą w morzu. Przy ich rozproszeniu ponadto, nie mają one już ~~zatem~~ większego znaczenia. Stąd też "polski głos" w amerykańskich wyborach stopniowo zanika.

Wreszcie, Polonia ilościowo słabnie w stosunku do niektórych innych grup etnicznych, starzeje się, asymiluje i tylko śladowo obecna jest w Kongresie i w Administracji, co nie pomaga jej być widoczną na scenie politycznej.

I skoro głosy nie są już przetargowym atutem w rękach Polonii, to powinny nim być pieniądze, instrument w rękach każdego lobby. W USA zorganizowane lobby liczy ponad 5 tys. PAC's, "komitetów akcji politycznej", wśród których żydowskie, jak AIPAC, wiodą prym. A ponieważ kongresmeni stale potrzebują pieniędzy na wybory, to jeśli ktoś chce zaskarżyć sobie ich względy, to musi ich odwiedzać z książeczką czekową.

Tego Polonia nie robi i stąd nie liczy się.

- TSP: - Nie pocieszająca to ^{zjawisko} konstatacja, ale trudno się z ^{nim} nią nie zgodzić.

Co wobec tego powinna Polonia robić?

- ZMR: - Poza tym, co tradycyjnie robi dla podtrzymania kontaktów ze współbraćmi pomiędzy Bugiem i Odrą, ^{powinno pomagać im w miarę swoich możliwości, jak chociażby w walce} jak też w miarę możliwości świadczenia im pomocy różnego rodzaju, ^{ponadto istnie} czy walki o bezwizowy ich wjazd do USA, Polonia powinna mieć wpływ na obiektywne kształtowanie pojęć wśród Polaków o tym kraju. Często są one zenująco uproszczone. Tak na przykład, słychać czasem w Polsce głosy, najczęściej różnych polityków, że funkcjonowanie amerykańskiej demokracji mogłoby być dla niej przykładem.

Nie bardziej nieprawdziwego i uproszczonego.

~~Nieprawda~~ USA, choćby dlatego, że są państwem federalnym, którym Polska nie jest, już przez ten tylko fakt ^{jest} ~~ten~~ przykład ^{am} ~~nie jest~~ do naśladowania. Wątpliwa jest również amerykańska demokracja. Prof. Robert Dahl, światowej sławy amerykański znawca problemów konstytucyjnych, nie uważa USA za demokrację, a *jedynie* za “prezydencką republikę”. Amerykański prezydent, dla przykładu, ma niemal dyktatorskie uprawnienia w sprawach obronności i polityki zagranicznej kraju. W sprawach natomiast gospodarczo-społecznych nie ma właściwie *nic* do powiedzenia, gdyż znajdują się one w gestii Kongresu. Jeśli prezydent ma w nim większość, to może jeszcze wychodzić na jego forum z różnymi inicjatywami i liczyć na poparcie. Jeśli zaś nie ma, to jest po prostu bezradny. Coś takiego w Polsce byłoby nie do pomyslenia. Jeśli już prezydent ma mieć w Polsce niemal dyktatorskie uprawnienia, to *przede wszystkim* w sferze gospodarczo-społecznej. W sprawach obronności i polityki zagranicznej, ze względu na *niemocarstwowy* status Polski, dyktatorskie uprawnienia prezydenta są bez sensu.

Wszystkie inne amerykańskie wzorce, gdzie wielorasowy, wielonarodowościowy i wielowyznaniowy naród jest ciągle w trakcie tworzenia, są w Polsce mało przydatne Polski naród, niemal jednorodny rasowo, etnicznie i wyznaniowo, “naród historyczny”, jeden z nielicznych w świecie, w dodatku dziejowo doświadczony jak rzadko który inny, powinien raczej sięgać do *własnych* dobrych tradycji i twórczo je dostosowywać do wyzwań dnia dzisiejszego.

Z kopiowaniem więc amerykańskich przykładów i doświadczeń w Polsce, trzeba być ostrożnym. Polonia na tym odcinku mogłaby być współrodakom w kraju wielce pomocna.

- TSP: - Jestem identycznego zdania. Ale przejdźmy do innych spraw.

Jak Pan widzi politykę wewnętrzną i zewnętrzną USA po wyborach?

- ZMR: - Zaczynając od wewnętrznej, to "pęknięcie" kraju na niemal dwie równe i otwarcie sobie nieprzyjazne połowy, bardziej niż kiedykolwiek od czasów wojny domowej, ~~to jest~~ ^{to jest} ~~niepocieszający~~ ^{m om} objaw. Należy bowiem pamiętać, że przed wyborami ok. 40 procent Amerykanów uważało, że Bush "skradł" poprzednie wybory i przyrzekło mu zemstę, głosując nie tak za Kerryem, jak *przeciwko* Bushowi. Dziś takich jest pewnie co najmniej 48 procent, a licząc z "niezależnymi" 49 procent. ^M ~~Możliwe~~ ^{Możliwe}, że ilość ich będzie wzrastać.

Czy Bush potrafi to ~~pęknięcie zasypać~~ ^{zniwelować}? Z tego co powiedział na pierwszej powyborczej konferencji prasowej - można mieć wątpliwości. W sukurs może mu przyjść dobry stan gospodarki, ale ona akurat stoi pod wielkim znakiem zapytania. Bush bowiem, obejmując w styczniu 2001 r. rząd, miał ~~budget z nadwyżką~~ ^{nadwyżkę budżetową} ponad 230 mld dolarów. Jednakże jego pięciokrotne redukcje podatków, łącznie ze słabą koniunkturą, skutkami wydarzeń z września 2001 r., ^{or} wojny w Afganistanie i Iraku, spowodowały pojawienie się *ogromnego* deficytu budżetowego. W minionym roku fiskalnym, zakńczonym we wrześniu 2004 r., wyniósł on aż 413 mld dol. Bush co prawda zapowiada, że do 2009 r. zredukuje ten deficyt o połowę, ale *nie wydaje się* to możliwe. Jeśli jeszcze zbyt wysokie dziś ceny ropy naftowej będą *zwyżkować*, a kurs dolara, ze względu na nadmiernie wysoki deficyt handlowy i budżetowy, będzie słaby i *spadający* ^{to} ~~spadał~~, ^{to} Bush nie tylko swoich zapowiedzi nie zrealizuje, ale *nie jest* wykluczone, ~~że~~ ^{że} gospodarka amerykańska popadnie w ciężki kryzys.

~~Niestety jednak~~ ^{tenz} ~~nie te sprawy~~ ^{te sprawy} jednak absorbują nowo-starą Administrację, ale wymiana lub nie ok. 3 tys. jej "politycznych" funkcjonariuszy, od piętnastu członków gabinetu zaczynając, a na wielu innych średniego szczebla kończąc. ^P ~~potrwa~~ ^{potrwa} to co najmniej parę miesięcy.

Przechodząc teraz do spraw zewnętrznych, to nie jest jasne jak USA zamierzają prowadzić dalej dość pochopnie zadeklarowaną "wojnę z terroryzmem", która zaczyna je z drogą kosztować i której końca nie widać. Słabe są też szanse na rozwiązanie "sprawy irackiej" po myśli USA. Jeśli będą nadal tak "demokratyzować" Irak jak to widzieliśmy ostatnio w 300-tysięcznej Falludży, którą wyludniono i zrujnowano w czasie jej zdobywania, to do wyborów tam 30 stycznia w przyszłym roku nie dojdzie, albo większość ludności nie uzna je za legalne. A wówczas USA znajdą się w Iraku w jeszcze *trudniejszej* sytuacji, niż są obecnie.

Nie wiadomo też, gdyż mowy o tym w czasie kampanii wyborczej nie było, co USA uczynią dla wygaszenia konfliktu izraelsko-palestyńskiego, który jest *głównym* źródłem napięcia w regionie "Większego Bliskiego Wschodu" i całego świata muzułmańskiego.

- TSP: - Ale czy zgon Jassira Arafata dwa tygodnie temu - jak to ostatnio mówił Bush - nie poprawi perspektyw wygaszenia tego konfliktu?

- ZMR: - Wątpię. Arafat nie był najlepszym z możliwych przywódców rodzącego się narodu palestyńskiego, ale ~~cz~~ ^{któż} ~~to~~ mógłby być lepszy na jego miejscu? Demonizowanie Arafata jest więc *upraszczaniem* wyjątkowo złożonego problemu, jakim jest istnienie Izraela, jak i dążność Palestyńczyków do stworzenia własnego państwa.

Nie wchodząc w szczegóły wynikających stąd nie do pogodzenia sporów izraelsko-palestyńskich, faktem jest, że 24 czerwca 2002 r. Bush *przyrzekł* stworzyć w 2005 r. państwo palestyńskie, o którym zresztą, z jednoczesnym uznaniem istnienia Izraela w granicach sprzed czerwca 1967 r., ^{mówią} "arafatowscy" Palestyńczycy ~~mówią~~ od 1988 r., choć pozostali stanowiska tego

nie popierają. Teoretycznie więc, jakaś szansa wygaszenia konfliktu istnieje. Rzecz jednak w tym, że Izrael wyklucza powrót do granic z 1967 r. Końca konfliktu zatem nie widać i stąd słów Busha z 2002 r., o których zresztą wkrótce jakby zapomniał, zaabsorbowany wojną z Irakiem, nie można brać serio. Po waszyngtońskich rozmowach z brytyjskim premierem Tony Blairem sprzed trudno brać serio. Po waszyngtońskich rozmowach z brytyjskim premierem Tony Blairem sprzed dwóch tygodni jednakże, Bush znów oświadczył, że państwo palestyńskie stworzy, ale dopiero w 2009 r. Swoją obietnicę uwarunkował jednakże wolą Palestyńczyków zbudowania demokracji.

Ale jak ma do tego dojść? Palestyńczycy 9 stycznia 2005 r., mają przeprowadzić wybory prezydenta tzw. Palestyńskiej Autonomii, jako że w chwili obecnej Arafata zastępuje "dyrektoriat czterech", ale czy w sytuacji okupowania przez Izrael ziem przyszłego państwa palestyńskiego wybory takie są możliwe? Albo co będzie, jeśli wybory nie pójdą po myśli Izraela i USA? Jak też Palestyńczycy mają stworzyć własne państwo, skoro Izrael chce zatrzymać w swoim posiadaniu prawie 60 procent Zachodniego Brzegu, nie mającego w dodatku styczności terytorialnej z małą i przeludnioną Gazą, częścią ich przyszłego państwa? Izrael chce ponadto zamknąć Palestyńczyków w izolowanych od siebie enklawach, a na dodatek odgradza się od nich strzeżonym 8-metrowym murem i "plotem" drucianym.

Nie należy też zapominać, że Palestyńczycy aż w 60 procentach są bezrobotni i żyją w nieopisanym nędzy. Palestyńczyk w Gazie ma aż 20-krotnie niższą stopę życiową od Izraelczyka, a na

Zachodnim Brzegu ponad 10-krotnie. Są też przez izraelskich okupantów nieludzko traktowani.

również A należy pamiętać, że pod izraelską okupacją, nie mówiąc już o tych w diasporze, ilość

Palestyńczyków stanie się wkrótce większa od Izraelczyków. I jak taka masa ludzka mogłaby mieszkać na zamieszkiwałaby oni obszarze 7-krotnie mniejszym od izraelskiego i jeszcze gospodarczo niedorozwiniętym? Ba, ito jeszcze z zewnętrznymi granicami ewentualnego państwa palestyńskiego

kontrolowanymi przez Izrael? Co to byłoby za państwo?

Dlatego też nie wierzę w powstanie państwa palestyńskiego, podobnie jak w rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego ku zadowoleniu obu stron.

A co w takim razie będzie dalej - nie wiem.

- TSP: - W zewnętrznej polityce USA są chyba jeszcze inne problemy do rozwiązania niż konflikt izraelsko-palestyński?

- ZMR: - Oczywiście. Niepewny jest dalszy rozwój sytuacji w Afganistanie i to pomimo zwycięstwa Hamida Karzaia w wyborach prezydenckich w ubiegłym miesiącu. Jego 55-procentowe zwycięstwo należy tym tłumaczyć, że jako Pasztun zdobył przede wszystkim głosy tej najliczniejszej w kraju narodowości. A zresztą, co to za prezydent, jeśli jego osobistą ochronę stanowią Amerykanie, władza jego nie sięga poza Kabul, a tzw. budowanie narodu, *nation-building*, poszło w Afganistanie w zapomnienie. Jeśli coś w tym kraju naprawdę imponująco rozwija się, to produkcja opium, na którą przypada aż 60 procent dochodu narodowego kraju.

A co się tyczy innych spraw, to zgodnie z tym co powiedział Bush w orędziu do Kongresu w styczniu 2002 r. o "Osi zła", złożonej z Iraku, Iranu i Korei Północnej, to *nie jest* wykluczone, że oprócz Iraku, z którym od marca 2003 r. USA toczą już wojnę, że z następnymi dwoma krajami też ją zaczną, a na dodatek może jeszcze z Syrią.

Z Iranem za jego próby wyprodukowania broni nuklearnej, choć on się tego wypiera, a z Koreą Północną za możliwość jej posiadania, mimo że sprawa jest tu kłopotliwa, gdyż ma ona sojusz wojskowy z Rosją i Chinami. Co się zaś tyczy Syrii, wiecznie posądzanej o pomaganie międzynarodowemu terroryzmowi, to jej też może się dostać. Podobnie jak nuklearnemu Pakistanowi, gdyby nastąpił tam muzułmański przewrót.

Małe są również szanse na poprawę stosunków USA z Francją, Niemcami i innymi krajami zachodnimi. Wielką niewiadomą są również dalsze stosunki USA z Rosją i Chinami.

- TSP: - W tej niepewnej i groźnej sytuacji, przejdźmy zatem do "polskich spraw".

Co nowego można powiedzieć o "sprawie Ałganowa" i "Orlengate"?

- ZMR: - Coś nowego, zwłaszcza w "sprawie Ałganowa", która przyćmiła "Orlengate", początkowo główny przedmiot dochodzeń sejmowej komisji śledczej, to poza tym, co już na dzień dzisiejszy o niej wiemy - ~~wiele~~ ^{dużo} nie można powiedzieć. Może będzie to możliwe w jakimś stopniu po zeznaniach Kulczyka przed sejmową komisją, co ma nastąpić już jutro, 9 listopada.

- TSP: - W takim razie, nie pozostaje nam nic innego, niż zakończyć na tym naszą obecną rozmowę.

Bardzo dziękuję i do następnej.

- ZMR: - Również i ja dziękuję..